

Tomasz Rowiński: Twarz nowej epoki

Czasy amerykańskiego pokoju się kończą i w roku 2016 Donald Trump nam o tym powiedział. Już nie pytamy czy wojna wybuchnie, ale pytamy gdzie i kiedy. Miejmy nadzieję, że nie u naszych granic - pisze Tomasz Rowiński w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Résumé.

Gdy podsumowuje się rok 2016, trudno przejść obojętnie obok zupełnie niedawnych wyników wyborów w Stanach Zjednoczonych. Zwycięstwo Donalda Trumpa jest znakiem przynajmniej dwóch zasadniczych zmian, jakie zachodzą w dotychczasowym światowym układzie sił. Jedna, choć dotyczy wewnętrznych spraw Ameryki, to także ma swoją reprezentację w innych miejscach globu, druga związana jest bezpośrednio ze zmianą akcentów zaangażowania USA w polityce międzynarodowej. Dlatego też – jeśli chodzi o politykę – można wybory w Stanach Zjednoczonych uznać za zdarzenie zasadnicze, otwierające nową dynamikę przyszłości świata w XXI wieku.

Pierwsza zmiana polega na coraz silniejszym w świecie zachodnim przekonaniu o konieczności odrzucenia dotychczasowego modelu systemu światowego liberalizmu. Słowa „liberalizm” używam tu umownie, chodzi o pewien rodzaj ładu politycznego i moralnego, wyrosłego po II wojnie światowej na bazie wartości naszego kręgu kulturowego. Dotyczy to także Stanów Zjednoczonych. Porządek ten jednak coraz bardziej zaczął się z upływem czasu przeradzać się w narzędzie segregacji społecznej według przeciwstawienia postępowy –

wsteczny i wedle tych samych kryteriów zaczął dystrybuować dostęp do władzy i zamożności. Wszystko jednak pod płaszczem ideologii mówiącej o wysokich standardach równości czy wolności. Wybór Donalda Trumpa – niezależnie od tego czy faktycznie chce on reprezentować ten nowy trend w społeczeństwie amerykańskim, czy jest tylko wentylem pod kontrolą establishmentu – takie właśnie znalazł społeczne uzasadnienie. Oznaczałoby to, że wchodzimy w czas kryzysu elit opierających się na przekonaniach rewolucji obyczajowej roku 1968, które to elity zawłaszczyły sobie, posiadający pierwotnie chrześcijańską inspirację, język praw człowieka do zbudowania uzasadnienia dla własnego szerokiego dostępu do władzy na poziomie światowym. Być może zatem kończy się dotychczasowa postać ideologicznego uzasadnienia cywilizacji zachodniej.

Jeśli chodzi o amerykańskiego prezydenta elekta, warto zwrócić uwagę na przypisywaną mu przez przeciwników identyfikację z populizmem. To hasło dziś właściwie nic nie znaczy i jest tylko przejawem bezradności krytyków, którzy nie chcą – lub robią to rzadko – podjąć refleksji co faktycznie reprezentuje w polityce Donald Trump. Zapowiedzi przywrócenia wysokiego opodatkowania luksusu, interwencjonizmu gospodarczego, wreszcie elementy izolacjonistyczne nie odpowiadają wcale temu, co zwykle określa się jako populizm, a zatem pozbawionemu zakorzenieniu w tradycji politycznej schlebaniu niskim emocjom społecznym. Trump nawet jeśli sprzedawał publiczności w kampanii wyborczej przekaz, który nie zawsze wydawał się spójny, to jednak bez wątplenia w zasadniczych jego elementach mieliśmy do czynienia z odwołaniami do przynajmniej niektórych elementów leżących u fundamentów amerykańskiej prosperity z połowy XX wieku. Z tego wszystkiego Stany Zjednoczone wycofały się w ostatnich 50. latach – dziś widać, że ze stratą dla narodowego dobra wspólnego. Wzrastające rozwarstwienie społeczne, oligarchizacja

polityki i gospodarki, czego przykładem jest sam Trump, to prosta, ale prawdziwa charakterystyka sytuacji społecznej USA. Zatem wiele wskazuje, że Trump przedstawiający się jako społecznie „nawrócony” miliarder reprezentuje rozczarowanie Ameryki, która chce odzyskać fundamenty suwerenności polegającej nie tylko na możliwościach militarnych, wolnościach obyczajowych, ale także na ideale państwa, które miało swoją specyficzną ideę sprawiedliwości, mówiącą o możliwości bogacenia się i rozwoju dla każdego. Nie można zlekceważyć także konserwatywnego i religijnego charakteru znacznego odsetka Amerykanów, którzy nie są zadowoleni z niszczenia ładu moralnego ich państwa w imię emancypacji swobód. Dzisiaj amerykańskie ideały są tylko pieśnią przeszłości, a Trump przypomina swoim rodakom korzenie amerykańskiego sukcesu.

Swoje ruchy sprzeciwu – anty-establishmentowe – mają także w większości państwa europejskie. Jedne z nich są silniejsze, inne słabsze, choć niekoniecznie łączy je jakiś rodzaj wspólnoty interesu. Jest jednak z pewnością przynajmniej jeden pozytywny aspekt tej sytuacji. Dochodzi do urealnienia obrazu światowej polityki, która w dużej mierze opiera się – dotyczy to także Polski – na złudzeniu wspólnych wartości łączących wewnątrz obszar Północnego Atlantyku i pośrednio resztę świata. Zaczynamy rozumieć, że dzisiejsze gwarancje sojusznicze być może nie są warte więcej niż te z roku 1939. Donald Trump mówi to właściwie wprost. Mówi nie dlatego, że zamierza się odwrócić od sojuszników, tylko dlatego, że odrzuca opowieść o światowym porządku powojennym (po zimnowojennym) jako nieaktualną i myłą. Obrona państw basenu Morza Bałtyckiego jest właściwie poza zasięgiem militarnych możliwości USA.

Druga zmiana, którą z dużym prawdopodobieństwem będzie reprezentował Trump, to przesunięcie się centrum politycznego świata właśnie z obszaru Północnego Atlantyku na Południowy Pacyfik i akwen Morza Wschodniochińskiego. To tam już dziś koncentruje się coś, co można określić mianem „cywilizacyjnej intensywności”, tam też zagrożone są amerykańskie interesy. Stany Zjednoczone nie mogą zaangażować się w pełni w region Pacyfiku bez urealnienia polityki europejskiej. Brak takiego urealnienia – co pewnie miałyby miejsce, gdyby zwyciężyła Clinton, przedstawicielka liberalnego porządku i jego władzy – opóźniłoby konieczne reformy w obronności samego Starego Kontynentu, który wciąż żyłby w przekonaniu o trwaniu geopolitycznego światowego snu oraz pełnego protektoratu bezpieczeństwa USA na Europą.

Czasy amerykańskiego pokoju jednak się kończą i w roku 2016 Donald Trump nam o tym powiedział. Już nie pytamy czy wojna wybuchnie, ale pytamy gdzie i kiedy. Miejmy nadzieję, że nie u naszych granic. Warto zauważyć jest wydarzenie z ostatnich dni – pod wieloma względami bez precedensu – Rosjanie powstrzymali się od odwetowego wydalenia trzydziestu pięciu dyplomatów po tym, jak w atmosferze oskarżeń o wpływanie na wynik amerykańskich wyborów Stany Zjednoczone usunęły z placówek dyplomatycznych tylu właśnie Rosjan. Putin prowadzi tu swoją grę, nie zamierza dementować pogłosek o wpływie Rosji na wewnętrzną amerykańską politykę, ale równocześnie wysyła jasny sygnał do prezydenta elekta, że liczy na konkretne efekty tego co określam jako urealnienie stosunków międzynarodowych.

Mające wymiar symboliczny zatrudnienie w Białym Domu Henry'ego Kissingera wskazuje na powrót geopolityki do światowych porządków a słabnięcie liberalnej idei, na której Zachód próbował budować relacje światowe po II wojnie światowej. Co więcej Kissinger był jednym z pierwszych polityków i analityków, którzy na początku lat 80. wskazywał, że to Chiny będą głównym wyzwaniem dla mocarstwowości amerykańskiej. Dziś tamte zapowiedzi się już realizują. Trump, mając w perspektywie konfrontację na zachodnim Pacyfiku, będzie musiał wyciszyć problemy, jakie wiążą się z Europą i jej polityką. To oznacza potrzebę stabilizacji stosunków z Rosją. Można się spodziewać, że zaakceptuje politycznie aneksję Krymu, a także będzie dążył do zamknięcia frontu ukraińsko-rosyjskiego nawet na zasadach dalece niekorzystnych dla Ukrainy. Jest również wysoce prawdopodobne, że Amerykanie oddadzą Rosji uporządkowanie sytuacji w Syrii. Czy oznacza to wzrost zagrożenia dla Polski? Raczej nie, ponieważ Amerykanie nie chcą żadnych eskalacji w naszym regionie i respektowania tego będą oczekiwać od Rosjan w zamian za rozmaite ustępstwa, które sami zaproponują. Można oczywiście wątpić w solidność Putina jako gwaranta takich umów, ale trzeba pamiętać, że Rosja znajduje się w trudnej sytuacji – dopóty wzrastało napięcie w relacjach z USA, dopóki Rosjanie byli zmuszeni zbliżać się do Chin, które jednak w długiej perspektywie są dla największego na świecie państwa zagrożeniem. Rosjanie jedyne co posiadają, to moc uderzeniową – nie mają ani gospodarki, ani sił demograficznych. Gesty Putina wskazują, że będzie on prawdopodobnie balansował pomiędzy dwoma antagonistami w wielkiej zbliżającej się bitwie o nowy kształt światowego porządku. Amerykanie na to też mogą liczyć – Rosjanie szukają pretekstu, by odsunąć się od Chin i zależy im na tym równie mocno co Amerykanom, którzy nie mogą sobie pozwolić na konfrontację z dwoma potęgami na raz.

Trzeba mieć nadzieję, że przesunięcie się całej strefy europejskiej w cień – z perspektywy frontów napięć światowej polityki – może się okazać dla Polski dobrym znakiem. Warto jednak pamiętać o słowach Edwarda Luttwaka, jednego z amerykańskich strategów popierających Donalda Trumpa. Polska musi umieć sama odstraszać Rosjan – np. w takim modelu obronności, jaki posiadają Finowie, czyli poprzez silnie rozbudowaną obronę terytorialną, a także armię opartą o siłę ludzką i proste środki. W wyścigu o przewagę w technologicznych zabawkach militarnych nigdy Rosjan nie przegonimy – niezależnie jak wiele byśmy ich kupili lub wyprodukowali można się spodziewać, że zostaną one zniszczone w pierwszych godzinach ewentualnego konfliktu.

Idą zatem – poczynając od roku 2017 – ciekawe czasy. Trzeba mieć tylko nadzieję, że bliżej nam będzie w tym przedstawieniu do publiczności niż aktorów. Mamy jednak swoje do zrobienia, ponieważ w cieniu na suwerenność każdego państwa czyhają inne niebezpieczeństwa niż w świetle.